

## Prenumerata

w Radomiu:

|                                                |       |
|------------------------------------------------|-------|
| Rocznie                                        | rs. 4 |
| Półrocznie                                     | „ 2   |
| Kwartalnie                                     | „ 1   |
| Za odnośnienie do mieszkań miesięcznie kop. 5. |       |

z przesyłką pocztową:

|            |              |
|------------|--------------|
| Rocznie    | rs. 5 kop. — |
| Półrocznie | „ 2 „ 50.    |
| Kwartalnie | „ 1 „ 25.    |

## GAZETA RADOMSKA

wychodzi w Niedziele i Czwartki rano.

## Ogłoszenia:

|                                                               |  |
|---------------------------------------------------------------|--|
| Z 1 wiersz druku lub jego miejsce na 1-ej stronie po kop. 10. |  |
| Na ostatniej za 1-y raz „ „ 5.                                |  |
| Dwa następne „ „ 4.                                           |  |
| Dalsze „ „ 3.                                                 |  |

Nekrolog i reklamy podwójnie.

Ogłoszenia prócz Redakcyi przyjmują Warszawską Agenturę Ogłoszeń: Rajchman i Frendler, Senatorska 18.

|                   |                          |
|-------------------|--------------------------|
| Dnia 10 Listopada | ś. Andrzeja z Awelinu W. |
| „ 11 „            | ś. Marcina Biskupa.      |
| „ 12 „            | ś. Salomei Panny.        |
| „ 14 „            | ś. Maksyma Biskupa       |

## REDAKCJA I ADMINISTRACJA

ulica Lubelska N<sup>o</sup> 137.

ADMINISTRACJA

REDAKCJA

otwarta od godziny 10 do 1 i od 4 do 7 || przyjmuje interesantów w tychże godzinach.

Rękopisy bez zastrzeżenia nie zwracają się.

|                               |            |
|-------------------------------|------------|
| Wschód słońca dziś o godzinie | 7 minut 13 |
| Zachód „ „ „                  | 4 „ 15     |
| Długość dnia . . . godzin     | 9 „ 2      |
| Ubyło „ . . . „               | 7 „ 41     |

Prenumeratę przyjmuje w Radomiu Redakcja Gazety Radomskiej, sklepy: P. Dubelta, P. Winklera i Księgarnia P. Zuckera.

## DOKTOR STANISŁAW IDZIKOWSKI

powróciwszy z Wiednia, gdzie przez długi czas pracował na klinikach akuszerki i chorób kobiecych, zamieszkał w Radomiu przy ul. Lubelskiej w domu p. Kopra N 102.

NAKŁADEM

GAZETY RADOMSKIEJ

wyszły z druku

NOWELKI

MARYANA JASIEŃCZYKA.

Nowelki te nabywać można w Redakcyi i miejscowych księgarniach.

Cena tomiku 1 rs.

## Pro domo sua.

Nie podlega żadnej wątpliwości, że dla każdego, umiającego bacznie patrzeć na życie naszego kraju i na rozmaite zjawiska, z dziedziny tego życia — widocznem jest iż Warszawa skupia, do pewnego stopnia, w obrębie swoim to wszystko, co nadaje ruch naszemu społeczeństwu i popycha go po drodze rozwoju. Czy podobne skupienie sił, w jednym miejscu, jest rzeczą dodatnią i dla danego ogółu pożyteczną lub szkodliwą, zastanawiać się nad tem nie będziemy, a to dla tego, że kwestya ta, za dalekoby nas zaprowadziła;

zresztą w zasadzie dawno ona została rozstrzygnięta, nastronę twierdzenia, przechylającego się ku uważaniu centralizmu za szkodliwy. Nad kwestyą tą, tedy, zastanawiać się nie będziemy, lecz raczej zwrócimy uwagę czytelników naszych, na fakta i na konsekwencye, jakie, w odniesieniu życia umysłowego i jednego z jego zjawisk, a mianowicie, w odniesieniu do rozwoju prasy prowincjonalnej pociąga za sobą centralizacya wielu sił naszego społeczeństwa, przeważnie w Warszawie.

Sprawa powyższa jest sprawą nietylko redaktorów i wydawców naszych pism prowincjonalnych, nietylko ich czytelników, ale i szerszego ogółu i dlatego ją w niniejszem poruszamy. Przechodząc zaś do rzeczy, zauważyć winniśmy, iż wobec już zaznaczonej tylokrotnie centralizacyi życia w Warszawie, prasa prowincjonalna, nietylko przeważnie, nie może posiadać odpowiednich sił kierowniczych, nietylko napotyka na mnóstwo trudności, w ich wyrobieniu, ale nadto, poprostu, nie śmie poruszać wielu kwestyj donioślejszego, ogólnego znaczenia, zapominając, iż ten kąt kraju, który przez dane pismo jest reprezentowanym, jest przecież częścią całości, jest członkiem jednego ciała społecznego, narodowego i państwowego i że to, co boli owo ciało, boli i członek dany, a na to, na co choruje członek, choruje i ciało, zgodnie ze znanem orzeczeniem Pawła, Apostoła: „Jeśli jeden członek chory, wszystko ciało jest chore“.

Czy podobny stan rzeczy jest winą prasy prowincjonalnej? Nie powiemy, jak nie powiemy i tego, że w omawianej sprawie nie podlega ona zarzutowi. Jest tu wina obustronna — a więc i ta, którą określiliśmy, mówiąc o centralizacyi życia w Warszawie równie jak i ta, która wynika

z rutyny, dzięki jakiej prowincya przyzwyczaiła się zanadto oglądać na Warszawę. Wina tu także ciąży i na dziennikarstwie warszawskiem, którego reprezentanci mało znają prowincyę, kraj; życia tej prowincyi pod wieloma względami nie rozumieją a doniosłość centrum, w którym pracują, przeceniając, lekceważą, niejednokrotnie prasę prowincjonalną; nie pojmują z jakimi ona walczy trudnościami i nie chcą skutkiem tego uznać faktu, iż po za ciasnem kołem danej miejscowości i jej interesów, ma ta prasa prawo zabierania głosu we wszystkich sprawach, ogół głęboko obchodzących.

Nie chcemy, aby nas ktokolwiek posądził, iż pragniemy pisać o Kochinchinie wyłącznie, a nie zajmować się tem, co się dzieje w sąsiednim Ryczywole. Nie! tego nie chcemy. Albowiem nam tylko o to idzie, że jeśli koniecznością jest, abyśmy dokładnie, o ile możliwości, życie, potrzeby i aspiracye danego kąta kraju na naszych kartach nakreślali, to idzie nam także o to, abyśmy bezustanku nawiązywali nić naszego życia, z życiem całego ogółu, całego kraju, interesując się wszystkim tem, co się z nim wiąże na ciśniejszej lub szerszej arenie w jakikolwiek sposób. Jesteśmy przekonani, że to naszym obowiązkiem publicystycznym, że mamy do tego prawo i że nam tego prawa nikt zaprzeczyć nie może. Jak dotąd, staraliśmy się, o ile możność, iść po drodze naszej, wedle pojmowania zadania prasy prowincjonalnej wyżej wyrażonego — tak i dalej iść będziemy i dla zaznaczenia takiego, a nie innego naszego stanowiska, to co napisaliśmy, napisaliśmy.

## NA STARĄ NUTĘ.

— Aleksey! daj nam jeszcze sześć kieliszków „Chartress'u“, kawy czarnej, ale prędeż!

— Służę panom!

Aleksey wniósł na platerowanej tacy kawę, cygara i likiery a towarzystwo, złożone z sześciu osób, poczęło się raczyć nawzajem.

— Więc powiadasz, że świat się nie zmienia, że... że jak było dawniej, tak jest dzisiaj...

— Jak pragnę się ożenić, tak dziś jest, jak było lat temu dwadzieścia. Te same ruble, ta sama mokka, ten sam likier i ten sam Aleksey; jak się żyło dawniej, tak się i dziś żyje.

— Nie wątpię, nie wątpię, zwłaszcza, gdy są te same ruble, co, dajmy na to, świętej pamięci ojczulek twój zapracował a tobie zostawił na to jedynie, abyś je z nami puścił.

— Ha, ha, ha, wybornie, widać znacie pochodzenie mego majątku i tego, co mi go w nieograniczonej dobroci zostawił.

Taką, mniej więcej, rozmowę prowadziło sześciu młodzieńców, zebranych w gabinecie teatralnej restauracyi.

Bawiono się tam wesoło, pito, a nawet śpiewano, zwłaszcza, że w sąsiedniej sali orkiestra Judki wygrywała wyjątki z pieprzonych operetek.

— Panowie za zdrowie pijusów! — wniósł toast jeden z biesiadników, powszechnie „radzący“ zwany.

— Niech żyją!

— Wiwat!

— Wiwat!

Kieliszki wzniesiono do góry, poczem przyłożono je do ust, i nowa kolejka „Chartress'u“ znikła w przepitych gardłach wesołych młodziaków.

Wtem wszedł garson.

— Aleksey! co trzymasz Aleksey?

— Papier proszę państwa, papier. Oddał mi go jakiś obdarty staruszek, stoi tu pod drzwiami zziębnięty i o wsparcie prosi.

— Papier... zziębnięty... stoi... staruszek... — wybełkotał jeden z biesiadników.

— Czytaj, czytaj! — zawołało paru innych.

— „Andrzej Wicki, lat 68, wyrobnik, opuściwszy po długiej chorobie szpital, prosi o wsparcie dla siebie i sześciorga drobnych dzieci“.

— O wsparcie prosi? Ano, daj mu Aleksey... kieliszek „Chartress'u“ niech i on użyje!

Wprowadzono starca. Mógł mieć lat do 70. Był już siwy i pochylony do ziemi. Stąpił chwiejnym krokiem. Na pomarszczonej żółtej twarzy znać było ślady przeżytych cierpień, nędzy.

— Hej Aleksey, daj mu „Chartress'u“, prędeż! — wołał pijany amfityryon.

— Służę!

I wniósł tacę, na której lśnił się spory kielich likieru.

— Pij stary! — wrzasli prawie chórem współbiesiadnicy.

— Dalej jazda! Chlapaj lysuniu, kiedy ci dają!

— Bóg zapłać wielmożnym panom, ale ja nic nie piję, a i głodny jestem, bo oto od wczoraj, wyszedłszy ze szpitala, nic w ustach nie miałem; ledwo ot nogi wlekę za sobą, a tam w domu czeka mnie żona, dzieci, także głodni, a i zimno im dokucza, prze...

— Aleksey, wyrzucić durnia starego, kiedy na „Chartressie“ poznać się nie potrafi!

— Wyrzucić! wyrzucić! — zawtórowało chórem całe towarzystwo.

Zimny wieczór listopadowy. Deszcz bije w szyby małego okna pokoju w jednym z domów przy ulicy Mlecznej.

Oprawa w kałamarz łójówka słabo oświetla pokój, a na tle jego rysują się sylwetki kilku osób. Najprzód stara już kobieta siedzi na ławce pod piecem, w którym dawno ogień już wygasł, a tuż przy niej ugrupowało się pięcioro dzieci: jedno na kolanach kobiety, wsparłszy na jej ramieniu główkę, zasnął; drugie u nóg jej leży, a reszta, otoczywszy kołem, zawodzi żałośnie, wołając:

— Mamo chleba. Mamo!

— Jeść, jeść, obiecała mama papu!

— Dostaniecie, moje dzieci, tylko ojciec powróci — uspakajała dzieci stara kobieta, rzucając niecierpliwie wzrokiem na drzwi, spodziewając się ujrzeć męża, w którym pokładała ostatnie nadzieje.



